Tomasz STRZEMBOSZ

RACHUNEK SUMIENIA WSPÓŁCZESNEGO POLAKA

Nie widać tych, którzy powiedzieliby: zgrzeszyliśmy przeciwko Bogu, Ojczyźnie i bliźnim; byliśmy zachłanni, egotyczni, stronniczy, pyszni; myśleliśmy przede wszystkim o sobie, o interesie partykularnym swojej grupy, o sukcesie – a nie o dobru wspólnym. Przebacz nam Boże naszą winę i obmyj nas z grzechu naszego.

Piszę te słowa, gdy zbliża się okres Wielkiego Postu. Nadchodzi dla społeczeństwa polskiego czas prawdziwego rozrachunku z własnym sumieniem. Bez takiego uczciwego rozrachunku nie można oczekiwać Rezurekcji, oswobodzenia Ducha. To, co piszę poniżej, niech będzie podniesieniem niektórych elementów takiego rozrachunku, choćby bardzo skrótowym przedstawieniem „za" i „przeciw" w stosunku do tego pokolenia, które jest w pełni dojrzałe, między innymi dojrzałością pamięci, która rejestrowała czas co najmniej od 1945 roku. Bo właśnie ich: dzisiejszych sześćdziesięciolatków, a także tych o dziesięć lat młodszych i starszych, winien dotyczyć przede wszystkim ten rachunek, oni bowiem nadal odgrywają w społecznych elitach rolę wiodącą, nadają ton – odpowiadają za nasze wczoraj i dziś. Wystarczy tu wymienić nazwiska: Kuronia, Olszewskiego, Geremka, Kaczyńskich, Millera i Oleksego, aby uświadomić sobie, jak wielką rolę właśnie ta generacja odegrała i nadal odgrywa w życiu politycznym i ideowym, a zarazem jak nikła jest rola ludzi zupełnie młodych, choć to oni w roku 1989 weszli szeroką falą w życie polityczne, które nagle otwarło się przed najambitniejszymi i najzdolniejszymi (nie tylko z kręgów PZPR).

Chciałbym więc, by ten rachunek sumienia był rachunkiem sumienia ludzi dojrzałych, odpowiedzialnych nie tylko za kilka ostatnich lat; by obejmował on cały okres 1945-1995; by dotykając wszystkich, zupełnie wszystkich, dotyczył szczególnie elit: umysłowych, politycznych, gospodarczych, artystycznych; by był to rozrachunek z postawy ideowej, a nie tylko politycznej, z charakteru, a nie tylko skutków.

OKOLICZNOŚCI ŁAGODZĄCE

Trzeba sobie zdać sprawę z tego, że to, co spotkało Polskę po 1944 roku: przejście pod dominację okrutnego (równie okrutnego jak hitlerowski) systemu,

utrata niepodległości (twierdzę, że było to coś więcej niż utrata suwerenności państwa), skazanie na wieloletnią nędzę materialną i poddanie prymitywnemu systemowi materializmu, także w sferze ducha, dyskryminującemu wszystko, co nieco „większe" od miski jadła – było poważnym naruszeniem tkanki moralnej życia społecznego. Okazało się po 1945 roku, że mimo wielu wysiłków w Polsce i w Europie Wschodniej sprawiedliwość nie zwyciężyła, że nasze wspólne zwycięstwo w ostatniej wojnie było jedynie „ich" zwycięstwem, że nie obowiązuje żadna solidarność ludzi walczących, że zostaliśmy po prostu sprzedani Stalinowi. Prowadziło to do gwałtownego zachwiania wiary w skuteczność postaw moralnie „wysokich", prawych, w sprawiedliwość Boską i ludzką, w sens ofiary. W sens życia – w ogóle.

Tworzył się system, w którego krótkotrwałość długo wierzono, a który okazał się trwalszy niż II Rzeczpospolita. Oparty na potędze ZSRR i strachu Zachodu wydawał się z czasem wiecznotrwały, nie do obalenia. Procesy gnilne nie wywoływały rozpadu, wszechogarniające kłamstwo nie było demaskowane – system trwał jak starożytne Bizancjum, które „rozpadało się" trzysta lat (o czym kiedyś przypomniał zrozpaczonym studentom prof. Henryk Samsonowicz). Może nasze wnuki doczekają – my nie...

Trzy pokolenia w niewoli – to nie mogło nie być bez trwałego skutku.

Kolejny element „usprawiedliwiający" to straszliwy terror lat 1944-1956, rozpoczęty całkowicie suwerennym i do końca bezkarnym działaniem trzech dywizji Wojsk Wewnętrznych NKWD, rozprawiających się ze zbrojnym oporem. Dywizje pozostały w Polsce do początku 1947 roku na osobistą prośbę Bieruta, a skierowane zostały tu specjalnym, osobistym rozkazem Berii. To one, jak również radzieckie dowództwo wojskowe, były prawdziwym decydentem w tym kraju; to one pokazywały namacalnie „polskiemu ludkowi", kto tu rządzi naprawdę. A potem okres „długiej ręki": Rokossowski na czele wojska, oficerowie i „doradcy" sowieccy w wojsku, w organach bezpieczeństwa, prokuraturze, sądownictwie, nawet w ministerstwie oświaty (tak!), agent Wydziału Zagranicznego (wywiadu) Kominternu Bolesław Bierut na etacie prezydenta RP, inni agenci na kluczowych stanowiskach. Doprawdy, ulokowanie w Polsce wojskowych baz sowieckich było wręcz zbędną ostrożnością, dodatkowym zabezpieczeniem domu, który był przecież de facto własnością okupanta.

Dalszy element – migracje na skalę niespotykaną w dziejach, niszczące wszelką tkankę społeczną; stała bieda większości ludzi zmuszająca do koncentrowania się na elementarnej kwestii przeżycia; selekcja negatywna, działająca systematycznie przez czterdzieści lat; wytrwałe wskazywanie drogi awansu przez zniszczenie indywidualności, konformizm i służalczość, przez partyjną „dyspozycyjność" w każdej sprawie.

Wreszcie czynnik niezwykle istotny: stracenie w czasie wojny i po wojnie trzech pokoleń polskiej inteligencji, inteligencji przedwojennej, niezwykle interesującej kulturowo elity powstałej w czasie wojny oraz elity powojennej. Wy-

niszczenie fizyczne. Wystarczy przytoczyć ostatnie badania Krzysztofa Jasiewicza dotyczące strat ziemiaństwa polskiego w latach 1939-1956, z których wynika, że UB wymordował po wojnie więcej ziemian niż UPA i bandy ukraińskie od 1939 roku. Zasadne jest także pytanie: czy żołnierze AK ponieśli większe straty podczas okupacji niemieckiej (nie licząc „Burzy" i Powstania Warszawskiego) czy też w „wolnej" Polsce po roku 1944? Pytanie, na które brak jeszcze odpowiedzi, ale już samo jego postawienie jest miażdżące.

Zmarnowano efekty polskiej walki o niepodległość, zniszczono do końca Polskie Państwo Podziemne, opluto władze naczelne Rzeczypospolitej na Uchodźstwie (odebranie obywatelstwa polskiego generałom, takim jak generał Maczek), zdławiono także ostatni już rozpaczliwy opór zbrojny lat 1944-1947. Te doświadczenia zanotowane zostały w pamięci narodowej, w pamięci tysięcy świadków i uczestników. Zduszono konspirację młodzieżową, bardzo rozgałęzioną po 1949 roku, podobnie jak zdławiono legalne poczynania PSL-u i Stronnictwa Pracy. To też było doświadczenie całego pokolenia. Trudno było po takich przeżyciach być „normalnym społeczeństwem".

ZAKRES POLSKIEGO OPORU

Jest to jedna z węzłowych kwestii dotychczas nie zbadanych. Książka Andrzeja Friszkego Opozycja polityczna w PRL 1945-1980, *która – zdawałoby się – mogła przynieść istotne ustalenia, skoncenrowała się na działaniach „opozycji politycznej" (w ciągu długich lat stanowiącej margines), pomijając inne formy oporu, nawet podstawowe. Możemy więc tylko wyakcentować niektóre zjawiska, nie określając ich zakresu i znaczenia.*

A więc na początku trwała walka zbrojna, przede wszystkim o charakterze partyzanckim. Dla niektórych ludzi w Polsce, na przykład na Białostocczyźnie, wojna skończyła się w 1954 roku – trwała o dziesięć lat dłużej. Spore tereny kraju, na które „władza ludowa" nie miała wstępu, opanowane były w 1946 roku przez tzw. bandy, dlatego działała ona tylko przez akcje pacyfikacyjne wojsk NKWD. Rozbito więcej więzień niż podczas okupacji niemieckiej. Nie wiem dokładnie, ile ludzi trwało w tej walce i jak długo walczono, było to jednak wiele tysięcy w latach czterdziestych i setki osób w latach pięćdziesiątych. Wspierało ich wielu Polaków, przede wszystkim polskich chłopów – i głównie z chłopów składali się ci zbrojni. Powtórzyła się sytuacja, jaka miała miejsce na ziemiach wschodnich II Rzeczpospolitej na początku wojny: młoda inteligencja (często uczniowie) i świadomi narodowo chłopi stanowili trzon oporu, zwłaszcza zbrojnego.

Partie opozycji politycznej PSL i SP osiągnęły w latach 1945-1946 liczebność niespotykaną przed wojną. PSL można porównać tylko z późniejszą o trzydzieści pięć lat „Solidarnością". To był także zryw ku oporowi, jakiego

trudno byłoby się spodziewać po narodzie wymęczonym sześcioma latami wojny i okupacji. Zryw zakończony paroma setkami skrytobójczych śmierci i tysiącami osób uwięzionych.

Tworzenie faktów dokonanych w ważnych dziedzinach życia społecznego, takich jak powołanie do życia harcerstwa, zupełnie niezależnego od władz komunistycznych (trzysta tysięcy ludzi), które w roku 1949 musiało zostać rozwiązane wobec presji na zmianę profilu ideowego tej organizacji; działalność innych związków i stowarzyszeń. Nikt nie napisał historii odbudowywania się – pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu – tkanki społecznej, dziejów oporu stawianego totalitaryzmowi w tysiącach punktów. Nikt nie napisał o ogromnej roli Kościoła, nie tylko jako instytucji z definicji prezentującej całkowicie odmienny od narzucanego świat wartości i niosącej Boga w świat zmaterializowany, a także instytucji z własną hierarchią i władzami aż do szczebla parafialnego, ale również o Kościele jako duchowym centrum, które skupiało ludzi, ogniskowało opór, tworzyło środowiska w świecie do cna zatomizowanym i pozwalało poczuć się „razem" (np. podczas procesji Bożego Ciała, pielgrzymek) i u siebie.

Jaka była skala polskiego oporu w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych? Kto ten opór świadomie budował, kto za ten opór cierpiał, kto trwał instynktownie przy dawnych wartościach? Nie wiem i sądzę, że nigdy nie będziemy wiedzieli na pewno, w sposób udokumentowany. Pomijam ową sławioną przez Friszkego „opozycję polityczną", bo za wcześnie jeszcze, by wydać o niej osąd: czas dzisiejszy weryfikuje ją z chwili na chwilę. Zresztą... jeśli pisze się o grupkach i grupeczkach, a pomija takie zjawiska jak „Oazy", skupiające kilkadziesiąt tysięcy młodzieży w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych... – o czym tu mówić. A duszpasterstwa...?, a niezależne stowarzyszenia...? Wreszcie „opozycja demokratyczna" i „Solidarność" – to już niemal współczesność. Korzenie tego ruchu oporu, jego nagły wybuch, rozmiary, sens ideowy, przywódcy? – same pytania. A jak to było naprawdę z naszym dziwnym podziemiem lat 1981-1989?

Rok 1989 powtórzył jakby rok 1945 – rok PSL-u. Wykazał naszą zdolność samoorganizacji (komitety obywatelskie), zdolność do kolosalnego wysiłku (wybory w czerwcu 1989 r.). Dodajmy – wysiłku zaraz potem zmarnowanego przez nasze elity polityczne.

KLĘSKI

Tak jak nikt nie napisał do dziś dziejów polskiej kolaboracji lat 1939-1945 pod obiema okupacjami: niemiecką i sowiecką, tak też nikt nie napisał dziejów kolaboracji po roku 1945. A tutaj właśnie należy uderzyć się w piersi, tutaj trzeba rachować się z sumieniem.

Są fakty. PPR, a potem PZPR były partiami ogromnymi, przez które przeszły miliony. „Hańba domowa” to pojęcie obejmujące nie tylko literatów i literaturę, ale bodaj wszystkie nauki humanistyczne, które dały się wcisnąć w gorset „frontu ideologicznego” PZPR, poczynając od haniebnego zjazdu historyków w Otwocku, w którego obradach wzięło aktywny udział wielu najsławniejszych badaczy, późniejszych luminarzy nauki. Pisali potem prace tak obrzydliwie zakłamane, że wręcz nie chce się ich czytać. A środowisko dziennikarskie? W tysiącach przypadków spełniające (czasem do dziś) rolę tuby „jedynie słusznej” idei i przewodniej siły narodu. A świat urzędniczy? A świat Polski gminnej?

Przytoczę anegdotę. W 1992 roku przyjechał do mojego domku znajdującego się w jednej z wsi północnego Mazowsza wiejski listonosz z przesyłką. Zsiadł z motoru i zaczął rozmowę. Jest zgorszony, bo były sekretarz partii w gminie został nauczycielem w miejscowej szkole podstawowej. Sekretarz nauczycielem! Mówi do mnie: „Ja byłem w partii, pan był w partii, ale to sukinsyn sekretarz i zrobili go nauczycielem”. Protestuję: „Ja nie byłem w partii!” – „Opowiada pan: ja byłem, pan był, ale to przecież sekretarz”. Jeszcze raz protestuję. – „Coś pan, takie rzeczy mi mówisz!” Żeby utrzymać się na stanowisku listonosza, lepiej było należeć do partii – i się w niej było: to było normalne i nie przeszkadzało negować ustroju i jego przedstawicieli na nieco wyższym szczeblu partyjnego wtajemniczenia. Gangrena serwilizmu bardzo się u nas rozprzestrzeniła, stała się częścią organizmu. Została uwewnętrzniona.

Lata 1956-1976 były prawdziwym złamaniem polskiego oporu, zaabsorbowaniem w społeczeństwie partii, nieco bardziej ludzkiej i polskiej, łatwiejszej do strawienia. Musimy uderzyć się w piersi: zbyt wielu z nas było w PZPR i w ZSL czy SD; zbyt wielu godziło się na rolę służebną; zbyt wielu milczało, gdy trzeba było krzyczeć; zbyt wielu odcinało kupony od swego milczenia; zbyt wielu wykonywało gesty pozornej aprobaty, choćby chodząc jak na spęd na pochody i głosowania. Wszyscy musimy się uderzyć w piersi: niewielu było do końca niezłomnych, a ci, co byli tacy naprawdę, są dziś zapomniani!

Zbyt wielu agentów UB i SB żyje nadal spokojnie między nami. Odpowiadamy i za to, że było ich tak wielu i że żyją bez drżenia. Demonstrowany w wielu środowiskach inteligencji i intelektualistów „wstręt antylustracyjny” – aż boję się napisać – ma w sobie wiele z gestu samoobronnego ludzi jakoś tam „ubrudzonych”. Lepiej nie ruszać. Syn dawnego dygnitarza komunistycznego profesor Jerzy Borejsza mówił mi kiedyś, że chciał napisać o inteligencji polskiej (w tym o artystach) w latach czterdziestych – i cofnął się, gdy sięgnął do źródeł: tak straszna była postawa wielu późniejszych znakomitości. Stawiam tezę: środowiska inteligenckie skuteczniej dawały się penetrować i kupować przez komunizm niż chłopskie i robotnicze. (Podobnie było w latach 1939-1941, jak twierdził komendant Okręgu Wileńskiego ZWZ ppłk Nikodem Sulik w raporcie z lutego 1941 r.) Większa też ciąży na nich wina.

Aż przyszedł okres zrywu „Solidarności". Ile w nim było piękna „na dole", a ile walki wewnętrznej, manipulacji i brzydkich gier „na górze". Podobnie było w latach 1981-1988. Nikt do dziś nie podziękował zwykłym łącznikom, kolporterom, drukarzom, uczestnikom masowych demonstracji za ich udział w walce, ryzyko i bezinteresowną pracę: tak duży był „ciąg na władzę", że zapomniano o nich, tak jak szybko zapomniano o solidarności, życzliwości, przyjaźni i miłości bliźniego. I tak samo szybko wielu zapomniało o rachunku krzywd i o rzeczywistych strukturach zła, bratając się z ludźmi, którzy – jak Kiszczak i Jaruzelski – mają polską krew na rękach.

Zapomniano także – w skali masowej – co znaczy słowo „służba". Polskie „grzechy główne" to przede wszystkim grzechy polskich elit politycznych. „Nasz naród jak lawa..."

Nigdy nie myślałem, że cecha systemu komunistycznego: k ł a m s t w o, stanie się tak powszechna w dzisiejszym życiu politycznym. Kłamstwo nie tylko jako obłuda, pozorność działania, łudzenie mas, ale takie „zwyczajne" kłamstwo, gdy kilku „dżentelmenów" zarzuca sobie mijanie się z prawdą – publicznie, w telewizji i w prasie, a potem okazuje się, że wszyscy oni kłamią.

Wreszcie prywata – tak ewidentnie ukazywana w dniu codziennym. I owo zmaterializowanie: wulgarna walka o pieniądze i całkowity brak skromności, wręcz brak elementarnej przyzwoitości ze strony ludzi władzy, stojących na czele państwa, w którym gołym okiem widoczna jest bieda milionów osób wywołana między innymi „polityką transformacji".

KLĘSKĘ ZRODZIŁ BRAK MORALNOŚCI

Wybory prezydenckie i parlamentarne to rzadka okazja, byśmy mogli dowiedzieć się czegoś więcej o sobie samych jako całej społeczności, a nie tylko o „wybrańcach losu": ministrach, posłach, dowódcach wojskowych. O czym mówią nam ostatnie wybory prezydenckie?

Przede wszystkim o bezpośrednim w p ł y w i e m o r a l n o ś c i n a p o l i t y k ę, tej moralności, która, jakby chcieli niektórzy, z polityką nie ma nic wspólnego; a nadto o tym, że brak moralności publicznej i osobistej był zasadniczą przyczyną klęski obozu solidarnościowego i samego Wałęsy. Jeśli wszyscy kłamali i obrzucali się inwektywami, jeśli wszystkie strony kryły przeróżne nadużycia i afery i były w nie zamieszane – to nie dziwmy się, że dla tak wielu wyborców Kwaśniewskiego nie było istotne, że jest to człowiek miedzianego czoła, kłamiący prosto w oczy w swojej prywatnej, wstydliwej sprawie, dla zyskania doraźnego efektu i realizacji ambicji politycznych. Jeśli istniało powszechne przekonanie, że na „pewnym szczeblu" nie jest się już odpowiedzialnym za malwersacje i afery (ileż ich było! i czy zostały rozliczone?), to jakież znaczenie miało dla wyborców zatajenie przez pana posła części majątku

osobistego: nie on jeden wykręcał się od fiskusa. Jeśli wielki „autorytet moralny" opozycji afiszował się przyjaźnią z Kiszczakiem i Jaruzelskim i nikt z jego ugrupowania nie uznał tego publicznie za zdradę ethosu i ideałów, to dlaczego nie miano głosować na młodego człowieka, który nie ma krwi niewinnych na rękach, a nadto jest skuteczny i obiecuje pracę, tanie mieszkania, których o tyle więcej było „za komuny"...? Jeżeli w Unii Wolności i Unii Pracy, także w niejednej partii „prawicowej" było tylu dawnych wybitnych działaczy PZPR i nikt ich publicznie, na oczach społeczeństwa, nie usiłował zapytać o życiorys ani nie miał skrupułów przy przyjmowaniu do „dobrego towarzystwa", jeżeli od początku byli „swoi" i „nasi", bo skupieni od lat paru w tym samym salonie i w tej samej koterii – to jakim prawem kazano ludziom wybrzydzać na innego działacza PZPR kandydującego na urząd prezydenta? Czyżby pezetpeerowiec w UW był lepszy od pezetpeerowca w SdRP ze względu na aktualną lokalizację?

Jeśli już „gruba kreska" – to „gruba kreska". Dlaczego obejmuje ona – bo de facto obejmuje – Humera i jego współtowarzyszy z UB, a nie ma objąć tego, kto jeszcze niedawno był miłym Olkiem, z którym piło się piwo w restauracji sejmowej? Podobnie, dlaczego Pawlak dziś jest świetnym kandydatem na premiera, a jutro już ma być wrogiem publicznym numer jeden?

Społeczeństwo polskie urażone głęboko w swym poczuciu sprawiedliwości brakiem jakiegokolwiek rozliczenia zbrodni przeszłości, zniechęcone mało zrozumiałymi grami i gierkami, zbrzydzone i zawiedzione, zachowało w sobie potrzebę posiadania jasnych norm i kryteriów. Chce, aby było: „tak – tak, nie – nie". To nie ono odrzuciło Wałęsę i innych kandydatów, to najpierw Wałęsa i większość tamtych odrzucili społeczeństwo, nie licząc się z jego głosem (70% społeczeństwa było w przełomowym momencie za lustracją!), lekceważąc je, dopuszczając się manipulacji nie mniejszych niż te z okresu PRL i wykazując dowodnie, że potrzebne jest tylko do głosowania. Nawet w sytuacji autentycznego zagrożenia polskiej niepodległości oni, „klasa polityczna", tworzyli mętlik pojęciowy, zacierając granicę między dobrem i złem. Swoim wyborem ludzie demonstrowali nie tylko „za", demonstrowali – „przeciw" dając wyraz swemu ogromnemu zawodowi, zniechęceniu wobec tego, co im zaprezentowano w ostatnich latach. Demonstrowali swój brak zaufania i wiary w dotychczasowych przywódców. Nie rozliczono przecież ani kolaborantów i agentów NKWD z czasu okupacji ziem wschodnich II RP w latach 1939-1941, ani tych, którzy kolaborowali z okupantem niemieckim, ani też zdrajców z lat 1945-1989; nikt nie ukarał morderców z roku 1956, 1970, 1976 i 1981. Nie rozliczony został cały okres PRL. Czyż więc można się dziwić, że nikt dzisiaj nie boi się rozliczenia za zbrodnie teraźniejszości?

Powraca stan z lat gierkowskich, stan ucieczki w prywatność, stan demonstracyjnego braku zainteresowania życiem publicznym, w którym znów

rządzą „oni". Wiele trzeba będzie lat, aby to powszechne przekonanie zmienić, i nie zrobią już tego dzisiejsi ludzie z pierwszych miejsc na scenie politycznej.

Nie widać bowiem tych, którzy powiedzieliby: zgrzeszyliśmy przeciwko Bogu, Ojczyźnie i bliźnim; byliśmy zachłanni, egotyczni, stronniczy, pyszni; myśleliśmy przede wszystkim o sobie, o interesie partykularnym swojej grupy, o sukcesie – a nie o dobru wspólnym. Przebacz nam Boże naszą winę i obmyj nas z grzechu naszego. Gotowi jesteśmy pokutować, gotowi jesteśmy się nawrócić, a jeśli trzeba – odejść z poczuciem winy.

Jak na razie jednak nadal na pierwszych miejscach widzimy „siedmiu wspaniałych", „wodzów narodu", którzy nigdy się nie mylą i zawsze czują się upoważnieni do przewodzenia „ludowi". Widzimy tych, dla których ten lud nie jest kręgiem braterskim, lecz tylko elementem gry politycznej, mającym własne, autonomiczne cele, znane tylko „wybranym". Czyż może pycha rodzić owoce bezinteresownej współpracy, a egoizm odruch solidarności? Jakże się mają zjednoczyć ludzie, których nie łączy służba dobru wspólnemu, lecz dzieli wybujała ambicja, każąca widzieć siebie zawsze na pierwszym miejscu? To nie są ci przywódcy, na których od lat czekano, to nie są ludzie zdolni porywać i wskazywać prawdziwe cele.

„Jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić?" (Mt 5, 13).

Taki jest nasz rachunek sumienia Anno Domini 1996. Rachunek zmarnowanych możliwości i zaprzepaszczonych nadziei. Więcej win niźli zasług, więcej krzywd niż ocalenia.